

W PRZEDDZIEŃ 1812

Sojusz, zawarty w Tylży między Napoleonem a Aleksandrem nie rokował wielkiej trwałości ani długiego żywota. Przedewszystkiem nie zapewniał Rosji najmniejszych korzyści. Wprawdzie cesarz Francji umiał na pewien czas olśnić swego sprzymierzeńca, rozwinąwszy przed nim świetne horoskopy przyszłych zdobyczy Rosji na odległym Wschodzie, ale wkrótce potem wydało się, że wszystkie owe syrenie obietnice Napoleona opierały się jeno na gołosłownych zapewnieniach.

Należy również i to wziąć pod uwagę, że, aczkolwiek cesarz Aleksander w głębi serca najszczerzej pojednał się był ze swym zwycięzcą z pod Austerlitzu i Frydlandu, nie mniej jednak tylżyckie przymierze były jeno przymierzem dwu monarchów, a nie dwu narodów. Wiele naówczas mówiono o nienawiści do Francji, panującej śród mas ludności rosyjskiej, zważywszy jednak ówczesny brak uświadomienienia i bezwzględną apatją, w jakiej zawsze była pogrążona, śmiało to między bajki włożyć można, za to petersburska sosjeta, dworscy dostojnicy i zbliżeni do rządu dygnitarze, przeważnie niemieckiego pochodzenia, a najczęściej niemcy zabici, nie mogący przebaczyć Napoleonowi upokorzenia Prus i związani z dawną swą ojczyzną czemś więcej, jak wspólnością krwi, nie przestawali podsycać w otoczeniu Aleksandra zapamiętałej nienawiści do Francji i Napoleona. Zresztą i sam Napoleon obawiał się swego nowego sojusznika i mu nie dowierzał: wzrastająca potęga Rosji zniewalała go do przewidywania dnia, w którym kolos północy zrzuci z siebie więzy gwałtem narzuconego mu sojuszu i zażąda rachunku od swego zwycięzcy. Spotkanie się monarchów w Erfurcie jeno stwierdziło fakt, że świeżo zawarta przyjaźń zdążyła się już tak ochłodzić, iż poczyna to poważnie zagrażać usilnie zlepionemu pokojowi. A na domiar złego nastąpił jeszcze wybuch austro-francuskiej wojny 1809 roku; Aleksander stanął oko w oko z widmem odbudowania Polski i krwawa ta mara nie przestała go niepokoić. Z drugiej zaś strony, aczkolwiek rosjanie, w myśl warunków przymierza, obsadzili wojskami austryjacką granicę, to jednak działały one przeciw austryjakom tak niechętnie i niedołężnie, że Napoleon nie mógł nie zauważyć, na czyją stronę właściwie skłaniają się sympatje Rosji. Niebawem na ową szalę wzajemnych nieporozumień legła ołowiem jeszcze jedna sprawa natury nader drażliwej: oto Napoleon oświadczył chęć pojęcia za małżonkę jednej z sióstr Aleksandra i, usłyszawszy w odpowiedzi, że księżniczka Aleksandra... jest jeszcze nazbyt młoda na oblubienicę, zanucił rezolutnie: pójdę w świat, znajdę sobie inną i, uczyniwszy zwrot ku dworowi habsburskiemu, pojął za żonę arcy-księżniczkę austryjacką. Ów przykry incydent musiał pozostawić po sobie gorzki niesmak u obu sprzymierzeńców. Dość, że w zaraniu 1810-go roku francusko-rosyjskie przymierze stało się ostatecznie fikcją zewnętrzną, zgoła pozbawioną jakiejkolwiek treści. Obie strony przewidywały katastrofę i jęły czynić odpowiednie przygotowania.

Do poprzednich przyczyn niezadowolenia przyczyniła się jeszcze jedna: wuj cesarza Aleksandra, wielki książe Oldenburski został bez żadnych formalności wyzuty ze swej władzy, a jego ziemie przyłączono do Francji. Cesarz Aleksander poczytał ów akt gwałtu za obrazę osobistą i zerwanie tylżyckiego traktatu, który warował nietykalność wszystkich księstw niemieckich, których władcy znajdowali się w pokrewieństwie z rosyjskim domem panującym.

Ale wygnanie wielkiego księcia Oldenburskiego posłużyło raczej za pretekst do zerwania, niż za przyczynę; cesarz Aleksander był naówczas zaniepokojony wyłącznie stanem rzeczy w księstwie Warszawskiem, obawiając się, by Napoleon nie zechciał odbudować Polski, która, korzystając z jego pomocy pokusi się oderwać od Rosji prowincje, zajęte podczas pierwszego i drugiego jej rozbioru, jeszcze za panowania cesarzowej Katarzyny. Niebezpieczeństwo to wydawało

się groźne do tego stopnia, że Aleksander postanowił uprzedzić Napoleona i, korzystając z jego planów, stać się samemu dobroczyńcą polaków. Napisał przeto niezwłocznie list do księcia Adama Czartoryskiego, proponując mu odbudowanie Królestwa Polskiego, pod warunkiem osobistej unji z Rosją. Książe Czartoryski wystosował do cesarza długą odpowiedź, której treść ostatecznie redukowała się do tego, że polacy mają zbyt wiele do zawdzięczenia Napoleonowi, dlatego też obecnie ich przejście na stronę Rosji byłoby najzwyklejszą zdradą; o ile jednak będą zaproponowane odpowiednie warunki, to on sam, Czartoryski, gotów jest poprzeć zamierzenia Aleksandra. Wtedy cesarz zakomunikował mu, że gotów jest przywrócić Polsce wszystko to, co zostało zagarnięte podczas rozbiorów, rozszerzyć jej granice do Dźwiny, Dniepra i Berezyny, uznać zupełną jej autonomję i dać konstytucję. Atoli wszystkie usiłowania Czartoryskiego nie doprowadziły do niczego; wszyscy wpływowi polacy wręcz odrzucili proponowane wejście w układy z cesarzem Aleksandrem.

Również nie osiągnęły żadnego skutku usiłowania cesarza Rosji, dążące do zawarcia z Austrją zaczepnego przymierza preciw Francji: tylokrotnie zbici na kwaśne jabłko przez genjalnego korsykańczyka austryjacy, nietylko nie zgodzili się na przymierze, ale nawet zapowiedzieli, że, na wypadek wojny, nie będą mogli zachować ścisłej neutralności.



Hr. Rostopczyn,
który spalił Moskwę.

Nie mniej jednak Aleksander już się zdecydował zerwać traktat tylżycki i rozpocząć zaczepną wojnę z Napoleonem. Pod osłoną głębokiej tajemnicy, Rosja zajęła się przygotowaniem wojsk i zbieraniem ich wzdłuż zachodniej granicy.

I Napoleon ze swej strony jął się usilnie szykować do wojny, a nawet sporządził plan przyszłej kampanji. Przyczyn, usprawiedliwiających zerwanie pokoju było aż nadto dość; po pierwsze, Rosja lekceważyła obowiązujący ją system kontynentalny, dopuszczając świadomie do swoich portów angielskie towary jeno pod osłoną amerykańskiej flagi, a nawet zajmując się ich przewozem do Niemiec; dalej, został ogłoszony ukaz, zabraniający przywozu francuskich towarów; na Dźwinie i Dniestrze dokonywano olbrzymie roboty fortyfikacyjne; wreszcie Napoleon obawiał się, że dojdzie do zupełnego porozumienia pomiędzy Petersburgiem a Londynem. I oto w jego umyśle dojrzał odrazu plan napadu na Rosję, który jednak można było doprowadzić do skutku dopiero po rocznem, a nawet półtorarocznem przygotowaniu. Jego zamiarem stało się przeniesienie wojny do samej Rosji, niespodziewane wprowadzenie w jej granice czterechset do pięciuset tysięcy żołnierzy, odniesienie wielkiego zwycięstwa na podobieństwo Austerlitzu lub Frydlandu i zniewolenia Rosji do usunięcia się na wschód, ledwie że nie do samych granic Azji. Ale dla przygotowania tak strasznego ciosu, potrzebny był czas; należało przeszkodzić Rosji w jej uderzeniu na Francję, na wiosnę 1812 roku. Dopóki będzie się formowała ze składowych swych części wielka armia, dopóki się nie zespoli w jedną organiczną całość, dopóki poza osłoną wód Elby, będą ściągane wojska z brzegów Renu, z Holandji, z południowych Niemiec i z Francji— należy wszelkimi sposobami przeszkodzić przedwczesnemu wybuchowi wojny, uspakajać i powstrzymywać Aleksandra od akcji zaczepnej, przewlekając układy i, o ile się da, wygrywać na czasie.

Wszystko to zajęło całą drugą połowę 1811 i pierwszą 1812-go roku. Dwaj monarchowie gotowi do zmierzenia się ze sobą wymieniali uroczyście pokojowe zapewnienia i gotowali się do wojny, prowadzili nieskończenie długie rokowania dyplomatyczne i zapewniali się nawzajem o przyjaznych uczuciach, będąc w istocie śmiertelnymi wrogami. Między Napoleonem a Aleksandrem w tem jeno zachodziła różnica, że pierwszy z nich trzymał się uparcie swego planu wojny zaczepnej, a drugi, po chybionych usiłowaniach w Warszawie i w Wiedniu musiał wyrzec się taktyki zaczepnej i postanowił oczekiwać ataku wroga na swojej ziemi. Zresztą, od czasu do czasu Aleksander łudził się jeszcze nadzieją, że może uda się uniknąć strasznego rozlewu krwi i załagodzić nieporozumienia na drodze pokojowych układów. Tak np. na wiosnę 1812-go roku zyskał jego aprobatę projekt kanclerza Rumiancewa, zamierzającego podział księstwa Warszawskiego i oddanie jednej jego części księciu Oldenburskiemu, tytułem odszkodowania. Na tej podstawie zostały nawet zawiązane układy między Paryżem a Petersburgiem, ale niebawem cesarz Rosji musiał się widocznie przekonać, że się po nich niczego spodziewać nie może, dość, że zajął na nowo wyczekujące stanowisko. W układach, które się, dla formy, dalej toczyć nie przestawały, zgoła już nie było mowy o księstwie Warszawskiem. Aleksander nie przestaje w łagodnym minorowym tonie narzekać na krzywdę mu wyrzadzoną i beznadziejnie domaga się satysfakcji; ale wojny nie wypowiada.

natomiast spodziewa się jej i szykuje się do niej.

W tym okresie spostrzegać się dają manewry podwójnej gry, toczącej się obustronnie przy rozgłośnym akompanjamencie brzęku oręża. W Paryżu i w Petersburgu wciąż jeszcze są wymieniane dyplomatyczne uśmiechy i komplementy, a tymczasem po drogach Francji i Niemiec już biągną wojska, działa, tabory, stada wołów,— jednem słowem porusza się cały gigantyczny wojenny aparat,—a za Niemnem i Bugiem już ściągają się wojska rosyjskie i nieruchomo w milczeniu oczekają blizkiej, nieuniknionej, losowej godziny. Aleksander nie przestaje obdarzać faworami, francuskiego posła w Petersburgu, Coulaincourta, który wręcz nie umie się oprzeć nieprzepartemu urokowi rosyjskiego monarchy. Napoleon ze swej strony nie szczędzi przebiegłych, mglistych słówek, zręcznych manewrów i wykrętów, mających na celu jeno wygranę na czasie. A tymczasem raz po raz rozlega się fałszywy alarm. Tak np. na wiosnę 1811-go roku, francuski poseł w Warszawie, Bignon, otrzymuje od księcia Poniatowskiego wiadomość o daremnem usiłowaniu cesarza Aleksandra, mającem na celu przeciągnięcie na swą stronę Polski, na wypadek czynnego wystąpienia przeciw Francji. Cała Polska jest zelektryzowana przewidywaniem epokowych wypadków; po Warszawie rozchodzą się wieści o rychłem wtargnięciu rosjan. Ich odgłos dochodzi aż do Paryża. Napoleon gorączkowo przyśpiesza przygotowania do pochodu i, tworząc na prędce nowy plan kampanji, odmienny od dawnego, rozkazuje korpusowi Davousta, stojącemu nad Elbą, posunąć się nad Odrę. Ale niebawem wyjaśnia się, że jego gorączkowo napięta wrażliwość wywołała ów alarm fałszywy i Napoleon powraca do pierwotnego planu.

Wkrótce potem z Petersburga do Paryża zjeżdża Coulaincourt, nietęgi dyplomata, ale dzielny generał, który doskonale był rozważył projektowaną wojnę i wszystkie niebezpieczeństwa, nieodłączne od planu Napoleona. W lipcu 1811-go roku debatował on w przeciągu siedmiu godzin z Napoleonem w Saint Cloud, wypowiedziawszy cesarzowi wszystkie swe prorocze obawy, z cechującą go zawsze otwartością i odwagą. Ze szczególnym naciskiem nastawał na to, że Napoleon jest w błędzie, jeżeli spodziewa się złamać potęgę Rosji jednem lub dwoma zwycięstwami; Coulaincourt zgóry już przewidywał taktykę rosyjskiej armji, przepowiedział jej odstępowanie, jej uchylanie się od rozstrzygającej bitwy, jej zamiar wciągnięcia nieprzyjaciela w głąb kraju, gdzie mu zguba z łatwością zostanie zgotowana.

To nie będzie wojna, która się zakończy w przeciągu kilkunastu dni, — zaręczał Coulaincourt,—Wasza Cesarska Mość, utrzymawszy się przez pewien czas w kraju nieprzyjacielskim, będzie zniewolony, chcąc nie chcąc, powrócić do Francji i wszystkie z tego korzyści przypadną w udziale stronie przeciwnej. A zwłaszcza należy przyjąć pod uwagę zimę, surowy klimat, osobliwie to mając na względzie, że nie będziemy mogli cofać się. Sam cesarz Aleksander mówił do mnie: „Do walki z wami zmusimy naszą zimę i nasz klimat“. Zdawało się, że Napoleon zawahał się na chwilę, ale potem znowu powrócił do pierwotnego planu. I oto znowu rozpoczęły się układy, dyplomatyczne wykręty i kłamliwe obietnice, które w błąd nikogo wprowadzić nie mogły.



TRENY.

Pośród omglonych rosą, cichych łanów zboża...

...Pośród omglonych rosą, cichych łanów zboża,
Co z uwielbienia szmerem do Jej nóg się chylą,
Tą poranną, rzeźwiącą, modlitewną chwilą,
Idzie wolno w zadumie cichej Matka Boża...

Rozmarzonych, dziewczęcych Jej oczu błękity,
Pod pasiastą, barwistą zapaską się łzawią
Smętną żałością, polską tęsknotą żórawią,
I wskrzeszonych Anhellich srebrnemi zachwyty...

Rozszemranych zbóż mgliste, nieobjęte morze,
W tym cichym, rozsrebrzonym w łzy Polski [kościele,
Do liljowych stóp Panny Najświętszej się ściele,
W tajemnym od ros srebrnych kłosów roz- [howorze...

Zroszonych, polnych kwiatów rzeźwą, chłodną [wonią,
W letnim, mglistym poranku rozkosznie od- [dycha
Naszej polskiej Madonny pierś dziewczęca, [cicha,
Trącając fale zboża, co łzy rosy ronią...

Wacław Wolski.



Od wydawnictwa.

Na kierownika literackiego „Złotego Rogu“ zaprosiliśmy **Wacława Grubińskiego,** głośnego autora „Uczty Baltazara“, „Pocałunku“, „Buntu“ i ostatnio tak powszechnie w prasie omawianego tomu nowel p. t. „Moc kamienna“. Nazwisko utalentowanego pisarza daje gwarancję, że „Złoty Róg“, ten najtańszy w kraju tygodnik ilustrowany odpowie swemu zadaniu i dorówna pod względem literackim, artystycznym i publicystycznym najpierwszym tego rodzaju wydawnictwom zagranicznym.



Książę Walji
w uroczystym stroju w dniu ogłoszenia pełnoletności.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

W noc księżycową.

Trzeba przyznać, że stary Bogumił uczynił bardzo roztropnie, oddalając Karola. Ten chłopiec, którego przygarnął, wykształcił, a wreszcie umieścił w swojej własnej kancelarji, zaczął zupełnie lekceważyć swoje obowiązki. Doszło do tego, że podczas największej pracy, zamiast przepisywać list do dziedzica pełen liczb i dat, nazw, cen i przeróżnych terminów—Karol pisał list—to prawda—ale napewno nie do dziedzica. Właśnie wszedł z trzaskiem pan Bogumił, kiedy Karol zapisaną kartkę zmiął i schował do kieszeni.

— Pokaż-no panie łaskawy — coś tam nagryzmolił — rzekł zaraz rządca wyciągając rekę. Ale kartki nie otrzymał. Młody rachmistrz zaczerwienił się, potem zbladł, wreszcie wymamrotał pod nosem coś niewyraźnego i trzymał dłoń ukrytą w kieszeni—nie mając najmniejszego zamiaru zaspokoić ciekawośći swego zwierzchnika.

— No, pokaż, coś tam pisał—powtórzył p. Bogumił. A nie otrzymawszy odpowiedzi krzyknął, czerwieniąc się z gniewu.

— Pokaż — rozumiesz?...

I wtedy usłyszał rzecz zgoła nie oczekiwaną.

— Nie pokażę!

Stary rządca był tak zdumiony tym chłodnym spokojem, że zapomniał go zwymyślać, co zawsze czynił przy najmniejszym oporze!

— Dlaczego? — zapytał równie spokojnie. Zdawało mu się, że usłyszy jakieś okropne głupstwo — i był gotowy wyśmiać, wyszydzić, a gdyby zaszła potrzeba to nawet wziąć za ucho — i poważnie, silnie akcentując każde słowo:

— „Nie na tom cię kazał uczyć błaźnie, wałkoniu, żebyś mi tutaj wierszyki w kancelarji wypisywał! — Patrz z czego chleb“— I dodał!...

— Zapewne znów rymami kropisz jakieś ody do księżyca — co? A ja tam czekam na list, żeby Kacperka pchnąć na pocztę! No powiedz! Wiersze pisałeś?

— Nie!

— A co?

— List!

— Miłosny... co?... Bo przecież nie do dziedzica za granicę!

— Tak! Do kobiety!...

— Do kobiety! Cymbał jakiś!...

I byłoby się na tem skończyło, gdyby Karol zamilkł, rzucił list zaczęty do kosza i spokojnie napisał inny. Ale skromny urzędniczek zaczął mówić z niezrozumianym patosem.

— Proszę bardzo, niech pan mi nie wymyśla! Nie jestem żaden cymbał. Jeżeli nie chcę pokazać listu, który piszę do kobiety, to właśnie robię dobrze. Żaden gentlemen nie pokazuje listu, który pisze do kobiety.

— Kto, kto? Nie pokazuje?

— Gentlemen — powtórzył stanowczo.

I to było najfatalniejsze. Pan Bogumił wstał i machając rękoma krzyknął kilka razy.

Jeżeliś taki gentlemen — to się wynoś na cztery wiatry. Ja potrzebuję skromnego,

pracowitego chłopaka — a nie gentlemana. I wyszedł. Karol usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak jakiś czas pogrążony w rozpaczy, poczem wyjął z kieszeni zmięty list, wyprostował, wygładził i zaczął pisać:

„Tylko co rozegrała się straszna awantura. Ach, kochana Zosieńko, gdybyś wiedziała jaki jestem nieszczęśliwy. Nietylko, że mnie nie kochasz, ale jeszcze straciłem miejsce. Bo oto przed chwilą, kiedy pisałem do Ciebie te słowa (o zobacz jaki kleks) w tym miejscu właśnie wszedł do kancelarji Twój dziadek. Chciał abym mu pokazał list, ponieważ myślał, że pisze do pana Olszamowskiego, tymczasem ja pisałem do Ciebie, bo się strasznie stęskniłem. O moja Zosieńko! Widzę teraz, że życie nic niewarte. Cóż mi bowiem pozostanie na świecie — gdy opuszczę Zbuczyn — i nigdy się nie zobaczymy?... A przecież będę musiał to uczynić. Twój dziadek bardzo poważnie powiedział mi, że mogę sobie iść na cztery wiatry — a ja nie będę go prosił. I kto wie, czy nim przyjedziesz do nas—ja nie będę już daleko!...

W tej chwili zaturkotał jakiś powóz pod oknami kancelarji — i Karol mimowoli obejrzał się w tą stronę. Z trzaskiem, okrążając gazon pełen różnobarwnych kwiatów, zajeżdżał ładny powozik! Karol, zobaczywszy niebieską sukienkę i słomkowy kapelusz, uczuł gwałtowne bicie serca. Nie namyślając się długo — stanął w drzwiach i patrzył w słodkiem przerażeniu na wysiadającą z powozu pannę, którą już ściskał pan Bogumił—a śliczna jego żona wydzierała mu zdobycz. Teraz pani Bogumiłowa całowała gościa, aż się rozlegało echem zawiści w sercu rachmistrza.

Poczem wszyscy ze śmiechem zniknęli za drzwiami.

Karol wrócił do mrocznej kancelarji i rzucił się na ceratową kanapę, która go przyjęła z głośnym jękiem sprężyn. Podłożył ręce pod głowę i zapaliwszy papierosa patrzał na łażące muchy po suficie! Nie był pewny, kto przyjechał w gościnę. W pierwszej chwili myślał, że to Zosia — ale Zosia była młodziutka, wątła, dziecinna piętnastoletnia podfruwajka, a wysiadająca z powozu panna zaimponowała mu cudowną postawą. Wprawdzie nie widział swojej Zosi — rok cały, ale nie przypuszczał, aby jeden rok, mógł uczynić tak wielką różnicę. Prędko też przestał się interesować nieznajomą, oszołomiony zajściem z panem Bogumiłem. Od czasu jak tylko zaczął myśleć, pamiętał zawsze starego plenipotenta pana Olszamowskiego. On go wysyłał do miasta na naukę, on za niego płacił w szkole, on wreszcie był mu ojcem i opiekunem, tymbardziej nie mógł zrozumieć tak nagłej zmiany. Wprawdzie nie raz znosił jego zły humor i słuchał wymysłów — lecz nigdy stary rządca nie wyganiał go na cztery wiatry. Karola zawsze traktował jak syna, a syna przecież nie wypędza się z domu za byle jakie przewinienie. I to jeszcze o co? O list!... Karol nie mógł się nadziwić tej ordynarnej chęci czytania cudzych listów. Przecież było najwidoczniejsze, że list pisany przez niego nie był przeznaczony dla pa- Olszamowskiego. Wreszcie powiedział mu najwyraźniej że list jest do kobiety!... Jakże wobec tego można ponawiać swe żądania?...

Długo tak myślał, nie oszczędzając pana Bogumiła, który był dla niego w tej chwili nieokrzesanym gburem. Pełen zatem litości dla swego opiekuna Karol po długich medytacjach wstał z ceratowej kanapy i zaczął wyglądać oknem. Godzina była przedwieczorna i słońce złociło wybielone pnie drzew owocowych. Koło gazonu kręciła się pani Bogumiłowa, ogrodniczemi nożycami tnąc kwiaty do bukietu. Była to młoda kobieta, bardzo ładna, o której figurze „jak ulanej“ mówiono zawsze z uznaniem, zwłaszcza podczas winta, granego przez aptekarza, księdza proboszcza, doktora i pana Bogumiła. Zwłaszcza doktór, stary kawaler, któremu z racji stanowiska wiele uchodziło, nie mógł znaleźć słów na określenie swego zachwytu. Szczęściem, że był stary i brzydki — inaczej nie wiadomo, czy zazdrosny pan Bogumił, nie zrobiłby mu kiedy awantury! Karol zakochany w swojej Zosi nie widział piękności pani Heleny. Nie mniej jednak stary rządca śledził go niespokojnym wzrokiem, ilekroć zbliżał się do jego młodej żony — i nieraz przy niej, umyślnie wyśmiewał jego dziecinne lata. Pani Bogumiłowa jednak, nigdy mu nie zaprzeczała, ani potakiwała, przyjmując z zupełną obojętnością jego spostrzeżenia i złośliwości.

Teraz zobaczywszy jego płową głowę z nieco rozwichrzonymi włosami, wyglądającą przez kraty kancelaryjnych okien — podeszła i, śmiejąc się, zawołała kiwając białą georginją.

— A wyjdź-żesz z tego więzienia. Ktoś

przyjechał! Mówiła mu „ty" — jako żona Bogumiła. Karola, który miał już 18 lat, bynajmniej nie obrażała ta poufałość. Uważał to za zupełnie naturalne, że nowa żona jego opiekuna, zwracała się do niego w ten sam sposób, jak dawna, stara i przygarbiona Bogumiłowa. Uśmiechnął się trochę smutno i wyszedł,

— Kto taki? — zapytał stojąc na progu.

— Chodź to zobaczysz...

— Kiedy mam list przepisać do pana Olszamowskiego.

— Jutro napiszesz. Teraz podwieczorek!

Razem weszli na ganek — gdzie spotkali wychodzącego z pokoju p. Bogumiła. Stary rządca spojrzał z ukosa i zdawać by się mogło, że w jego niebieskich, poczciwych oczach zalśnił ogień stłumionej złości. Błysk zgasł — rozlewając po twarzy mętną żałość — pełną niechęci, która aż nazbyt przebijała się w chłodzie słów.

— Mógłbyś sam przyjść na podwieczorek i nie czekać, żeby aż żona po ciebie wychodziła. (Dok. nast.)

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

27)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Maryna wiedziała, że niepójdzie, że uwierzy słowom jej, że zrywającą się z ławy zatrzyma. W pięknych puzdrach, na miękkim atłasie leżały bogate dary wojewodzińskie i *nieposzanowania* nie mógłby dostrzedz Jasieniec. Zrywała się zatrzymywana, wreszcie, pokonana — uległa. Przez chwilę krótszą gniew jeszcze kołysał się na jej czole, a była tak piękna z tem oburzeniem dumy obrażonej, że o mało rycerz na klęczki przed nią się nie rzucił, przebaczenia błagając. Ale uspokoiła się prędko i nawiązując nić przerwanej rozmowy, zaczęła tak mówić:

— Wiedzcie już wszystko — bo snadź Maryny nie szczędzono przed wami. Dziewką młodą byłam, gdy za stryjca mnie wydano, aby majętność nie wyszła z rąk Pileckich. Siedmdziesięcioletni małżonek zmarł podczas uczty weselnej, Pilica do wzięcia a: *Salve!* na dwa gościńce patrzy z murów zamkowych. Dziw-że to, że zamek pustką nie stoi?..

— Jest u was i teraz kto bądź gościną? — Pełko spytał — —

— Śniegi zawaliły drogi... Ach! czemu gór nieprzebytych nie usypały!.. — zawołała podniesionym głosem.

Okrzyk ten tak był szczery a taką prawdą tchnący, że Jasieniec, jakby powodowany jakiemś uczuciem wdzięczności, wzrok na mówiącą obrócił.

Spojrzenia się spotkały...

Patrzyły na siebie długo, jakby dwie siły, dwie potęgi mocujące się z sobą. Jasieniec czuł, że czarne oczy Maryny łamią go.

Podniósł się — podniosła się i Maryna —

— Bywajcie!.. — szepnęła — —

Żegnała pierwsza — —

— Ja was nie zatrzymuję — dodała. — Bywajcie!.. a gdy wam źle będzie na świecie... choć wspomnieniem tu przybywajcie!..

Nie podała ręki... Obiema dłońmi o stół się wsparła, który klekotał cicho pod dreszczem jej ciała. Jasieniec wychodził w ukłonach, wewnętrzną trawiony gorączką. Przy drzwiach wyjściowych stanął — podniósł głowę i spojrzał na Marynę.

Stała nieruchoma, wpatrzona w niego.

Skłonił się...

Nie odpowiedziała ukłonem, pobladła tylko bardzo.

Jasieniec przestąpił próg... i spojrzał raz jeszcze.

Nie poruszyła się, patrzyła tylko wciąż czarnemi gwiazdami swych oczu. Czuł je w mózgu, czuł w głębi serca, w przepaściach duszy swojej widział.

Wyszedł...

W szeregach komnat zamkowych skonało echo jego kroków.

Maryna patrzyła jeszcze —

— Nie zapomnisz!.. po wiek wieków mnie nie zapomnisz, jako i ja ciebie!. — szepnęła — —

Jasieniec dosiadł rumaka. Po czerwieńcu rzucił pachołkom go przeprowadzającym — i runął w bramę. Halabardnicy odskoczyli do ścian, jakby wichr ich odsadził.

Jasieniec skręcił na gościniec — —

Tuż za bramą dostrzegł orszak jezdnych, zmierzający ku niej. Poprzedzały go sanie pyszne, przez cztery dziarskie rumaki ciągnione. W saniach, rozparty, jechał pan wojewoda Włodek. O mało nie starli się z sobą. Jasieniec uskoczył w bok; Wojewoda z sań się wychylił i siwe przy nrużył oczy... Nagle porwał się i krzyknął:

— Stój! stój!..

— Ha!.. — odkrzyknął Jasieniec — i pomknął wichrem.

Sanie się zatrzymały z takim impetem, że rumaki na zadach siadły, pyskami krwawiąc. Orszak rycerski pędem zbliżył się do wojewody, nie wiedząc: ma-li gnać za umykającym? Ale wojewoda żadnego nie wydawał rozkazu, jeno brwi ściągnął i patrzał za siebie, jakby gromem porażon. W tej chwili do sań się zbliżył jeździec jakiś na chudej szkapie, w kapocie szlacheckiej, czapce baraniej, z szablą zawieszoną na sznurku.

— Czy wasza miłość mnie woła? — zapytał, zdejmując czapkę — —

Wojewoda zmierzył go od stóp do głowy—

— Nie mam zaszczytu znać asana — rzucił przez zęby. — Ale — (potarł czoło) — Może asan wiesz, kto to taki z wrót tych wyleciał?..

— Pełko Jasieniec — do usług miłości waszej!.. — odpowiedział szlachcic. Skłonił się, czapkę na uszy nacisnął i truchtem ruszył drogą do Ogrodzieńca.

Był to Zaraniec — —

Wojewody o mało krew nie zabiła — —

— Jasieniec!.. Maryna!.. — przez zęby zgrzytnął. — I tutaj ten żmij nie daje mi spokoju!..

Padł ciężko na sanie —

— Zwolna... pod dwór!.. — do woźnicy się zwrócił.

Konie powoli wjechały w bramę. Za bramą woźnica chciał bat rozwinąć i z trzaskiem pod pałac zajechać, ale wojewoda powstrzymał go w zapędzie.

— Zwolna—powtórzył.—Noga za nogą... Niech konie odsapną!

Nie konie, jeno on dyszał piersią ciężką i potrzebował chwili spokoju, by dojść do równowagi. Gdy sanie już przed zamkiem się zatrzymały a służba wybiegła na powitanie przyjeżdżającego, trwoga minęła, jak sen niepozorny — i — pewny już siebie, przestępował progi tak dobrze izb sobie znajomych. Spojrzenie, rzucone w zwierciadło, zrobiło resztę. Wyglądał pysznie w czerwieni swych szat, na których świeciły guzy brylantowe a skrzyły się gwiazd blaskami. Uśmiechnął się, pokręcił wąsa — i wszedł do malutkiej komnatki pełnej woni, kwiatów i... wspomnień.

Wspomnień!..

A no — tak!..

(d. c. n.)





Wychowańcy kursów wokalno-dramatycznych p. Hryniewieckiej



TEATR LETNI.

„W gołębniku".

Komedja w 3-ch aktach I. Nikorowicza, reżyserował Ludwik Wostrowski.

Z tej trzyaktowej, błahej, jak wiosenny puch, komedji, wieje dziecięca niemal pogoda. To, co się dzieje na scenie, są to igraszki, igraszki przeplatane naiwnemi zmartwieniami, płaczem, który wytryska z nieba dziewczęcych oczu, niby letni, ciepły deszcz z błękitnej chmurki, lekko odpędzanej przez skrzydło filuternego zefirka wypadków i znów w „panienkach" świeci złotowłose słońce radości życia.

Do starej panny, obywatelki ziemskiej, cioci, przyjeżdża na wakacje siostrzeniec Zbyszko. Jest to chłopiec ładny, wesoły, dowcipny, lubiący dziewczęta i obdarzony od matki natury szczęściem do kobiet.

Ponieważ u miłej cioci bawią już dwie śliczne gąski dla letnich wywczasów, ponieważ nadto przybywa w goście zalotna wdówka z sąsiedztwa i trzech młodych mężczyzn (kawalerów!) z okolicy, więc w słodki czerwcowy upał rozpoczyna się masowy flirt.

W tym flircie pierwsze skrzypce gra, rzecz prosta, Zbyszko. Ma chłopiec szczęście: wszystkie się w nim zakochały. Bo ten niewart Zbyszko takie ma usposobienie, że każdej przystojnej kobietce musi do uszka prawić komplimenty. Uszko się z przyjemności czerwieni, serduszko zalewa lubość i słaba niewiasta czuje że ulega czarowi bardzo przystojnego kusiciela. O, szczęśliwy Zbyszko!

Zanadto szczęśliwy. Trzy zakochane kobiety pod jednym dachem — to nieco zawiele na jednego polskiego Donżuana. Tworzą się nieporozumienia, kolizje, zatargi. W rezultacie Zbyszko, zaangażowany uczuciowo (potrosze) tylko w stosunku do pięknej wdówki, zostaje dokładnie wykwitowany z miłosnych dreszczów przez wszystkie, nawet przez wiejską



Ignacy Nikorowicz
autor komedji „W gołębniku".

dziewczynę, która w pierwszym akcie, ale już po spuszczeniu kurtyny, zdradziła z miejskim bałamutem swojego Michała.

Tę miłą, arcypolskim sentymentem przenikniętą komedję epigona Fredry niezwykle starannie wystawił p. Wostrowski. Strona dekoracyjna (dworek wiejski) była bez zarzutu.

Zbyszka grał Wostrowski. Grał go dobrze. Ale Zbyszko byłby jeszcze bardziej zjednywającym sobie serca widzów, gdyby nieco mniej okazywał pewności siebie. Bałamut postępuje jak kot: chowa pazurki.

Panie: Lubicz-Sarnowska i Janina Szyling stanowiły dwa rozkoszne zjawiska dziewczęce, nie wszystkie jednak sceny opromieniły równie szczodrze wdziękiem. Np. scena zazdrości, która powinna była wypaść najwdzięczniej, zawiodła. Może to wina premierowej tremy, a może... niezbyt pomysłowego opracowania szczegółów, których brakowało.



Ludwik Wostrowski
nowy reżyser dramatu.

Pani Pawińska roztoczyła w roli wdówki swą niepowszednią kokieterję, chociaż świetna scena z piorunami szwankowała pod względem... ilości odbytych prób.

W drugoplanowych rolach z powodzeniem wystąpili p.p. Rapacki, Wojdałowicz, Janusz, Hryniewicz i stara ciotka — p. Trapszo.

TEATR MAŁY.

W małej sali Filharmonji, artyści, grający przez lato na tak zwane działy, wystawili po „bombie", farsę. Farsa jest pochodzenia niemieckiego, nazywa się „Z przyjemnością", napisał ją zaś słynny Moser. Lato usposabia pogodnie, więc wystawienie rzeczy wesołych jest wskazane. Rzeczy takie słuchane są „z przyjemnością" a nawet poniekąd grane „z przyjemnością". Sprawozdawca z przyjemnością może stwierdzić, że „Z przyjemnością" było wystawione starannie (mimo upału), i widzowie z przyjemnością oklaskiwali wykonawców. *G.*

Kursy dramatyczne.

Kursy Wokalno-Dramatyczne H. J. Hryniewieckiej istnieją w Warszawie lat siedem. Kursy te niejednokrotnie miały sposobność popisywania się dodatniemi rezultatami umiejętnej i należycie prowadzonej nauki deklamacji i gry aktorskiej. Z grona wychowańców, którzy ukończyli studja artystyczne z odznaczeniem są wybitne talenty.— Karjerze scenicznej poświęcili się dotąd: p. Jadwiga Dobrowolska, Jadwiga Bożewska, Ludwik Czarnowski, Feliks Norski, Janina Ordęga-Orzelska, Halina Tworkowska i Marja Elertowiczowa.

Królewski kabaret.

W londyńskim Palast-teatrze odbyło się 1-go lipca pierwsze przedstawienie kabaretowe w obecności króla. Teatr zamieniony był w altanę z róż i całe przedstawienie sprawiało wrażenie jak gdyby jakiś bogaty mecenas lekkiej muzy zaprosił gwiazdy music-hallów na prywatne przedstawienie. Program

był tak wesoły, że teatr ryczał ze śmiechu, a jego królewska mość brał czynny udział w tym ryku.

Dla wdów i sierot.

Przystroiła się barwnemi lampjonami zawsze miła i pełna wdzięku Bagatela w dniu zabawy na rzecz wdów i sierot po literatach, urządzanej przez Tow. literatów i dziennikarzy. Po dniu chmurnym, niebo, co chwilę grożące deszczem, zaczęło się wypogadzać, jakby przez dziwną dla literatów uprzejmość, — to też tłumy całe pociągnęły alejami Ujazdowskiemi, kierując się ku temu najmilszemu zakątkowi Warszawy. U wstępu witały licznych warszawian piękne panie przy stołach z kwiatami do walki i programami, a dalej czekało przybywających zwykłe widowisko „bagatelne", ozdobione nowemi dodatkami literackiemi. W przerwach pomiędzy „numerami" widowiska wrzała więc walka kwiatowa, kładły się na barwne stroje pań czarowne, różnokolorowe światła, rzucane z reflektorów, czasem zadzwonił srebrzysty śmiech rozbawionego podlotka lub pięknej pani, której oczy zasypano figlarnie kwiatami. Ku końcowi zabawy zapłonęły śród klombów ogrodu ognie sztuczne, aż wreszcie nadszedł koniec i rozbawieni z żalem pożegnać musieli gościnnych zawsze literatów.



Na rzecz wdów i sierot. Sprzedaż kwiatów i programów.

Pierwszy Zjazd.

„W jedności siła!"

Pod takiem hasłem zwołany został na d. 7, 8 i 9 b. m. pierwszy zjazd szewców w Warszawie. Wyjaśnić tu należy, iż przemysł szewcki znajduje się obecnie w chwili przełomowej; pracy dotychczasowej ręcznej zagrażać w poważnym stopniu zaczyna wyrób maszynowy obuwia, nierównie tańszy; chodzi więc o to, by przystosować się do tego momentu krytycznego, by nowe fazy życia nie zastały szewców nie przygotowanych.

W tym celu właśnie, w celu zorganizowania się do walki ekonomicznej, porozumienia się bliższego, zwołany został zjazd obecny, na który stawiło się około 600 uczestników z całego Królestwa.

Pierwszy dzień zjazdu.

Zjazd rozpoczął się od nabożeństwa, odprawionego w ubiegłą niedzielę w kościele św. Jacka (po-Dominikańskim) o g. 10 rano. Następnie zebrali się uczestnicy zjazdu w wielkiej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, gdzie przed godziną pierwszą obrady zjazdowe otworzył prezes Tow. popierania przemysłu i handlu p. Józef Rzętkowski, witając tak licznie zebranych i zaznaczając, że widzi w tej liczebności członków nie prostą ciekawość, lecz chęć porozumienia się w sprawie podniesienia i zachowania zagrożonego rzemiosła.

Po tem przemówieniu ukonstytuowało się prezydjum zjazdu w składzie następującym: prezesem został z wyboru p. Stanisław Pfeiffer, znany przemysłowiec, właściciel zakładów garbarskich, wiceprezesami p.p.: Paweł Nowicki, redaktor „Szewca Warszawskiego", Jan Kamieński, starszy cechu szewców warszawskich, Jan Rudnicki i Leon Reinschmidt; na sekretarzy powołano p.p. adw. przys. Znatowicza, J. Marka i Józefa Witkowskiego, wreszcie na asesorów p.p. Leona Doley'a, Jana Tarnowskiego, starszego cechu szewców w Łodzi, Michała Kapuścińskiego, Kaz. Krauzowicza z Żyrardowa, J. Kielińskiego



Na rzecz wdów i sierot. Pierwsi goście.

z Płocka, Al. Ciszka z Radomia, Stefana Domańskiego z Lublina, Franciszka Wojcińskiego z Włocławka i Józefa Jarkowskiego ze Skierniewic.

Po powitaniu uczestników zjazdu przez prezesa sekcji rzemieślniczej Tow. pop. przem. i handlu oraz po powitaniu zjazdu przez szewców warszawskich w osobie starszego cechu p. Kamieńskiego, pierwszy referat wygłosił projektodawca zjazdu p. Paweł Nowicki. Mówca, rozważając „Ogólne położenie szewctwa“, streścił naprzód historję szewctwa, sięgając czasów, kiedy obuwie nosili tylko mężczyźni, kobiety zaś posługiwały się trepkami domowej roboty. Postęp w wyrobie obuwia powoli posuwał się naprzód, w r. 1848 dopiero w Peszcie wynaleziono sposób wyrobu obuwia szpilkowego, w lat dziesięć potem pojawiła się pierwsza maszyna do wyrobu obuwia, wreszcie dopiero w ostatnich czasach pojawiło się szewctwo mechaniczne i zaczęło rugować pracę ręczną.

Następnie poswięcił mówca uwagę szewctwu warszawskiemu, które miało swe świetne czasy. W r. 1869 na wystawie szewckiej w Petersburgu, wzięli udział szewcy warszawscy i zdobyli sobie niezwykłe uznanie, zyskując mnóstwo zamówień na swe wyroby. To też otworzyły się rynki rosyjskie dla wyrobów warszawskich i od tej pory zaczyna się złoty okres w dziedzinie szewctwa warszawskiego. Do rozwoju naszego przemysłu przyczyniło się w niemałym stopniu pozyskanie przez szewców naszych dostaw dla armji rosyjskiej podczas wojny tureckiej.

O rozwoju przemysłu szewckiego daje nam miarę fakt, iż w latach 1900 — 1905 wytwórczość szewców w Królestwie Polskiem sięgała 40 miljonów rubli rocznie, z czego na Warszawę samą przypadało 28 miljonów; ponieważ Warszawa spostrzebowuje obuwia za 7—8 miljonów, na wywóz zatem produkowała obuwia sama tylko nasza stolica za 20.000.000 rb. Następnie jednak przyszedł po tej złotej epoce szewctwa polskiego moment przełomowy. Przyczyniły się do tego strejki z okresu wolnościowego, wędrówka do Cesarstwa czeladników, którzy stają się tam nauczycielami szewców rosyjskich, powstanie mechanicznych fabryk obuwia, wreszcie brak właściwych organizacji, któreby stawały w obronie przemysłu szewckiego.

Temu więc radby mówca zaradzić na drodze zrzeszania się, wskazując, iż pożądane jest wyjednanie u władz: 1) rejestracji handlowej, 2) zmiany ustawy podatkowej, zbyt obciążającej szewctwo, 3) podwyższenie cła od obuwia zagranicznego i 4) powierzania dostaw rządowych nie spekulantom, lecz majstrom zawodowym. Wnosił też mówca, by zakładano szkoły zawodowe, by tworzono fabryki współdzielcze obuwia mechanicznego, by zakładano warsztaty wzorowe dla subjektów-szewców i t. d.

Po referacie p. Pawła Nowickiego wszczęła się dyskusja, w której brali udział p.p. Drzewiecki, Łukaszewski, Napiórkowski z Włocławka, Woyczyński, Dąbrowski, Jarkowski z Łodzi, Sobczak z Radomia, Święcicki, Schmidt, Mystkowski z Zagłębia i w. in. Po dyskusji tej wygłosił referat p. J. Rudnicki „O reformach w rzemiośle,



Grupa Komitetu pierwszego zjazdu szewców w Warszawie d. 7 lipca. Siedzą od lewej do prawej: p.p. L. Doley, Tarnowski, red. P. Nowicki, S. Pfeiffer, Rudnicki, J. Kamieński, L. Reinschmidt, W. Walewski; stoją od lewej do prawej p.p. J. Marek, J. Witkowski, E. Lindemann, M. Kłyszewski, S. Blechschmidt, P. Schmidt, adw. Znatowicz, Dutlinger i J. Pfeiffer.

Fot. „Switeź“.



Pierwszy zjazd szewców. Grupa starszych cechów szewckich w Królestwie Polskiem.

uchwalonych na II wszechrosyjskim zjeździe przedstawicieli rzemiosł w Petersburgu", zaznaczając, iż uchwały zjazdu dotychczas nie wyszły poza sferę życzeń. Po posiedzeniu w Muzeum, uczestnicy zjazdu udali się na ul. Młynarską, by zwiedzić przytułek dla rzemieślników i robotników fabrycznych.

Pierwszy dzień zjazdu zakończono wieczornicą w siedzibie resursy rzemieślniczej, na którą przybyło około 300 osób. Sale resursy przystrojono zielenią, na chórze witał napisem „miłych gości — *Szewc Warszawski*", nadto przed ucztą powitał gości chór męski polonezem z „Halki". Szereg toastów rozpoczął p. Nowicki, witając goście i przedstawicieli prasy; następnie przemawiali p.p. Kamieński, Reinschmidt, Rudnicki, Znatowicz, Domański z Lublina, Bądzkiewicz z Hrubieszowa, Fr. Gromko, przedstawiciel pokrewnego fachu rękawiczników, dalej p.p. Wiatrowski, Malinowski, Eisenberg, Jóźwikiewicz, ks. Rymarkiewicz. Wspólną wieczerzę o niezmiernie miłym, serdecznym nastroju zakończyło zdjęcie fotografji wszystkich uczestników.

Drugi dzień zjazdu.

Drugi z kolei dzień zjazdu szewców rozpoczęto referatem p. Doley'a „O zakupie towarów". Mówca, prezes Tow. współdzielczego handlu skórami w



Władysław Walewski
prezes zarządu Kasy przemysłu skórzanego.

Warszawie, podkreślił w swym referacie przykład pouczający, jak poważne wyniki daje zawsze praca zorganizowana. Chcąc mianowicie uniknąć wyzysku ze strony pośredników handlu skórami, garść szewców przystąpiła w r. 1910 do utworzenia kooperatywy z kapitałem bardzo niewielkim, bo wynoszącym rb. 1.554; dzięki wyjednaniu sobie kredytu zagranicą, kooperatywa w ciągu 10 miesięcy istnienia zrobiła obrotu rb. 267.213 przy czystym zysku rb. 6.708, poczem liczba członków zaczęła szybko wzrastać, co wpływało na powiększenie się kapitału zakładowego. W r. b. spodziewany jest obrót pół miljona rubli.

Wobec tych niezwykle pomyślnych wyników w podjętej przez kooperatywę walce z wyzyskiem ze strony pośredników, rzeczą będzie niezmiernie pożądaną zakładanie podobnych wszędzie na prowincji, gdziekolwiek są większe ugrupowania szewców. Równie pożądaną też jest rzeczą, by szewcy zwracali się o skóry nie do pośredników-spekulantów, lecz do własnej kooperatywy, do której też przystępować mogą i powinni wszyscy szewcy warszawscy.

Po referacie p. Doley'a zabierali głos w dyskusji p.p.: Tomaszewski, Marszałkowski, Mystkowski, Wojciński, Neuman, ks. Rymarkiewicz z Kałuszyna,

ks. Adamczyk z Radomia i adw. przys. Emil Waydel, wskazując na przykład Księstwa Poznańskiego, skąd spekulujących pośredników wyparły zupełnie stowarzyszenia współdzielcze.

Następnie wysłuchali uczestnicy zjazdu przemówienia p. Jakóba Marka „O kursach zawodowych", poczem udano się do siedziby cechu szewców warszawskich, gdzie na przyjęcie gości wydobyto stare dyplomy i pamiątki cechowe. Po obejrzeniu tych miłych, wzruszających nieraz pamiątek czasów dawnych, potoczyły się żywe rozprawy, rozpoczęte przez p. Nowickiego.

Program drugiego dnia zjazdu dopełniły dwa referaty p. Edwarda Dutlingera „O kredycie dla rzemieślników" oraz p. Jana Kamieńskiego „O organizacji cechów", referat ten ze względu na jego doniosłość zamieścimy w brzmieniu dosłownem w przysłym numerze „Złotego Rogu". Wreszcie zwiedzeniem fabryki mechanicznej obuwia Filipiaka i S-ki przy ul. Gęstej, zakończono dzień drugi zjazdu.

Rankiem we wtorek ubiegły udali się uczestnicy zjazdu szewców do fabryki garbarskiej braci Pfeiffrów i Temlera, skąd po dokładnem zwiedzeniu nastąpił zbiorowy przemarsz do siedziby Tow. współdzielczego handlu skórami przy ul. Foksal, o rozwoju której to kooperatywy zostali już uczestnicy zjazdu poinformowani poprzednio przez p. L. Doley'a.

Po raz ostatni zgromadzili się uczęstnicy zjazdu szewckiego we wtorek popołudniu w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Między innymi wygłosili ostatnie przemówienia pp. Nowicki, Kamieński, Hiszpański, Znatowicz i Rudnicki; ks. Adamczyk wyraził podziękowanie organizatorom zjazdu imieniem uczestników prowincjonalnych, wreszcie odczytano szereg uchwał, których treść jest następująca:

1) założyć w Warszawie fabrykę współdzielczą obuwia mechanicznego i w miarę możności zakładać podobne na prowincji; poczynić starania w celu podniesienia poziomu umysłowego i zawodowego.

2) organizować kooperatywy celem wyparcia pośrednictwa w handlu, zalecić założenie laboratorium dla sprawdzania jakości towaru.

3) przy przyjmowaniu uczniów żądać świadectw z ukończenia przynajmniej 1-klasowej szkoły elementarnej, organizować kursy szewckie ogólno-kształcące, warsztaty wzorowe, opracowywać i wydawać podręczniki dla szewctwa i kamasznictwa, pracować nad ustaleniem słownictwa polskiego.

4) opracować ustawę banku rzemieślniczego i poczynić starania o jej zatwierdzenie.

5) łączyć drobne liczebnie cechy w jednym lokalu, ujednostajniać ustawy cechowe, uznać prawa kobiet pracujących, utworzyć biuro informacyjne dla wszystkich cechów warszawskich i prowincjonalnych i t. p.— wreszcie

6) termin przyszłego zjazdu szewców wyznaczyć na r. 1915 w Warszawie.

Nowa świątynia.

Cicha, spokojna osada, niegdyś własność księcia-namiestnika Zajączka, Opatówek w kaliskiem, ożywił się niedawno, zapełnił tysiącem przybyłych z okolicy włościan, przystroił się na przyjęcie ks. biskupa kujawsko-kaliskiego, St. Zdzitowieckiego. Ks. biskup przybył do Opatówka na uroczystość konsekracji nowego kościoła, postawionego tam niedawno z ofiar miejscowych parafian, z których na wyróżnienie szczególne zasługują małżonkowie ś. p. Ferdynand i Marja Nitzsche oraz syn ich, p. Paweł Nitzsche, obecny właściciel fabryki sukna p. f. „Fidler". Prócz wymienionych, którzy najhojniej łożyli na budowę nowego kościoła, przyczynili się też: zmarła już dzisiaj ś. p. Apolonja Bogdanowiczowa, oraz p.p. Schlosser i Mentzel, a nadto ks. probosz Adam Marczewski, dzięki czemu kościół rozpoczęty w r. 1906, został ukończony już w r. b. Przybyłego na uroczystość konsekracji ks. biskupa Zdzitowieckiego powitał przed gmachem straży ogniowej w Rynku proboszcz ks. Marczewski wraz z sędziwym poetą, profesorem Stefanem Gillerem (Stefan z Opatówka). Następnie witała ks. biskupa delegacja żydów miejscowych, wręczając chleb i sól, poczem dostojny pasterz udał się procesjonalnie do kościoła dla dokonania ingresu.

Sama uroczystość konsekracji odbyła się w niedzielę zrana, poczem ks. biskup celebrował mszę świętą w otoczeniu ks. ks. prałata Płoszaja, kanonika Sobczyńskiego i dziekanów Brylika i Perlińskiego; kazanie wygłosił prałat Stolicy Apostolskiej ks. Z. Skarżyński z Warszawy. Uroczystość, podczas której straż honorową pełniły obie straże miejscowe, fabryczna i miejska, zakończona została **obiadem**, na którym prócz duchowieństwa obecni byli starsi mieszkańcy Opatówka, jakoto: prof. Giller, p. Przeniewski oraz cały komitet budowy kościoła.



Nowy kościół w Opatówku.



Kościół w Opatówku. Przed plebanją.

Dwaj pacyfisci.

Przed dwoma mniej więcej tygodniami zmarł w Paryżu Fryderyk Passy, którego portret i kilka słów wspomnienia pozgonnego zamieszczone były w poprzednim numerze „Złotego Rogu".

Z okazji zgonu tego wielkiego myśliciela, uczonego i niestrudzonego bojownika idei pokoju powszechnego,—który cały swój długi, bo przeszło dziewięćdziesięcioletni, żywot poświęcił tej idei, nasuwa się mimowoli wspomnienie o innym nie mniej zasłużonym działaczu na tem polu — o Janie Blochu, autorze słynnego dzieła p. t. „Przyszła Wojna".

Mam właśnie przed sobą broszurkę napisaną przez Fryderyka Passy i Bertę bar. Suttner p. t. „Jean de Bloch et le Musée de la Guerre et de la Paix. La Thèse de Jean de Bloch" (Paris, chez Paul Dupont 1902), wydaną z powodu inauguracji wspomnianego muzeum.

Kim był zmarły przed dziesięcioma laty Jan Bloch wiemy wszyscy. Na jego działalność finansowo-przemysłową społeczeństwo nasze patrzało zblizka, kapitalne jego prace z dziedziny ekonomji, statystyki i kolejnictwa znane są tym wszystkim, którym przyszłość naszego kraju leży na sercu. Jedna tylko strona jego nadzwyczaj intensywnej działalności, mianowicie kilkonastoletnia praca nad rozpowszechnieniem i ugruntowaniem idei pokoju powszechnego jest u nas bądź nieznana wcale, bądź zlekceważona, podczas kiedy w całej Europie głos Blocha w tej kwestji był swego czasu wysoko ceniony.

U nas całą tę działalność Blocha traktowano jako fantazję bogatego finansisty, jako nieszkodliwą utopję miljonowego pana, który bawi się, tak dobrze w pacyfizm, jak inni w jego położeniu i na jego stanowisku bawią się w stajnie wyścigowe, lub w kolekcjonowanie starych rupieci. Tymczasem w Europie całej zupełnie inaczej zapatrywano się na działalność Jana Blocha.

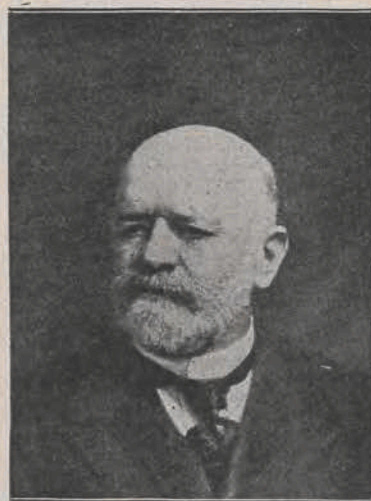
Najlepszym tego dowodem, że tak głęboki myśliciel, tak ceniony wszędzie uczony, ekonomista, działacz społeczny i statysta, jakim był zmarły Fryderyk Passy, wyrażał się z entuzjazmem o działalności Blocha, skierowanej w celu rozpowszechnienia idei pokoju powszechnego.

Fryderyk Passy, pisząc o Blochu, tak się wyraża: my, ekonomiści oddawna twierdziliśmy, a w ostatnich czasach powtórzył to samo p. de Molinari w swej książce p. t. „Grandeur et décadence de la guerre", — że nie zbogaca się ten, kto stara się wyzuć z mienia innego, i że wojna nietylko się nieopłaca, lecz rujnuje. Niestety, uważają nas za marzycieli, za utopistów, za ludzi sentymentalnych, widzących rzeczy tak, jak pragniemy je widzieć, za ludzi zapoznających nieuniknioną rzeczywistość tego świata. Jan Bloch jednak nie był sentymentalnym, nie pragnął on uchodzić za filantropa, pomimo że był nim w rzeczywistości. Był to człowiek czynu, człowiek praktyczny w najszerszem znaczeniu tego słowa, nie szafujący napróżno słowami i zawsze posiłkujący się niezbitemi argumentami.

Wrażenie wywołane ukazaniem się jego słynnego dzieła „Przyszła Wojna" było ogromne. Natychmiast po ukazaniu się oryginalnych wydań jednocześnie w językach polskim i rosyjskim, wyszły tłumaczenia tego dzieła w kilku językach. Francuskie tłumaczenie wzbudziło powszechne zainteresowanie.

Moralne powodzenie, jakie osiągnął, zdwoiło usiłowania Blocha, w celu dalszego rozwoju i spopularyzowania umiłowanej przez siebie idei. Pojmując dobrze, że dzieło jego, ujęte w formę uczonego traktatu, nie może być dostępnem dla szerszych mas, postanowił przy pomocy artykułów publicystycznych, konferencji, ilustrowanych odpowiednimi pokazami, oddziaływać na tłumy i jak można najszerzej rozprzestrzeniać swe wysoce humanitarne zasady.

Wreszcie jako ukoronowanie długoletniej działalności na tem polu, Bloch powziął projekt za-



Jan Bloch, zmarł 1902 r.

łożenia Muzeum Wojny i Pokoju (które jak wiadomo zostało otwarte w Lucernie w 1902 r. już po jego śmierci), aby w przyszłości, gdy go nie stanie, zgromadzone tam zbiory, dzieła i t. d., jednem słowem cały materjał rzeczowy, który służył mu do wieloletniej pracy w tym kierunku, wymownie świadczył o tej wielkiej prawdzie, do której w wyniku swej długoletniej pracy doszedł: *że Wojna w przyszłości nie może służyć do załatwiania sporów międzynarodowych.*

Jan Bloch umarł w 1902 r. W dziesięć lat później umiera Fryderyk Passy. Ludzie ci zniknęli, ale ich szlachetna, wysoce humanitarna idea, oparta na miłości bliźniego nie zginie! Ludzkość cała kiedyś z pietyzmem wymawiać będzie ich imiona, jako żarliwych apostołów wiecznego pokoju, zbliżającego świat do niedoścignionego dziś w oczach jeszcze miljonów ludzi — ideału! *S. C.*

Prenumeratorów, którzy dotychczas nie wnieśli przedpłaty na kwartał III-ci, uprzejmie prosimy o rychłe uiszczenie takowej.

ETERNIT.

Na wystawie Sportowo-przemysłowej jako interesujący eksponat zwraca ogólną uwagę materjał do krycia dachów p. n. „Eternit".

Częściami składowemi „Eternitu" są: cement i asbest.

Zalety „Eternitu" 1) niezwykła trwałość. 2) Nadzwyczajna lekkość; 3) Całkowita odporność na wszelkie wpływy atmosferyczne; 4) Zupełna ogniotrwałość; 5) Zupełna nieprzepuszczalność wody; 6) Absolutna gładkość powierzchni i jednakowa grubość oraz piękny, estetyczny wygląd. Zastosowanie Eternitu niezwykłe: w samej Austrji w roku 1911 „Eternitem" pokryto olbrzymią powierzchnię 7,000,000 metr. kwadr.

„Eternit" jest opatentowany we wszystkich cywilizowanych państwach świata. Prawo wyrobu „Eternitu" na Królestwo Polskie i Rosję zostało nabyte przez p.p. Stefana, Onufrego, Leona i Marję Rylskich.

Pierwsza w kraju fabryka buduje się w Lublinie i puszczona będzie w ruch już w r. b.

Ojciec Wielkiej Rewolucji.

W poprzednim numerze naszego pisma daliśmy wstępny artykuł pióra jednego z najznakomitszych polskich publicystów o „ojcu romantyków" i „ojcu rewolucji francuskiej", o „Janie Jakubie Rousseau". Dziś reprodukujemy nieznany potret „genewskiego filozofa", który propagował „powrót do natury".



J. J. Rousseau.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Stanisław Leppert.

Jedna z sympatyczniejszych instytucji warszawskich, Tow. cyklistów, poniosła dotkliwą w tych dniach stratę. Zmarł nagle, ogólnie lubiany i szanowany członek zarządu tej instytucji, Stanisław Leppert. Zmarły, szef biura znanej fabryki farb i lakierów p. f. „Karpiński i Leppert", poza swą pracą zawodową uprawiał z zamiłowaniem wszelki sport, zwłaszcza zaś sport cyklowy, należał też on do Tow. cyklistów jako jego założyciel i do ostatniej chwili piastował tam urząd kapitana.



Ś. p. Stanisław Leppert.

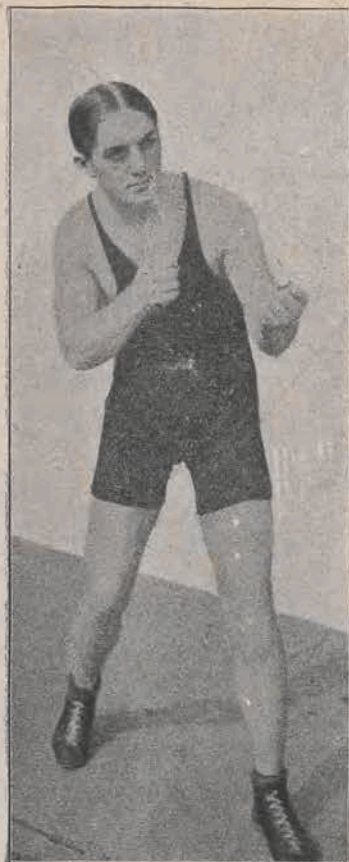
Ś. p. Leppert znany był nie tylko w szerokich kołach naszego miasta, lecz i w całym kraju niemal, przez szereg lat bowiem był kierownikiem wycieczek cyklistów po całem Królestwie. Jak ogólnie lubiany był i szanowany ś. p. St. Leppert miarę dał niedawno jubileusz 25-letni piastowania przez zmarłego stanowiska kapitana cyklistów, — żywem też echem odbił się zgon ś. p. Lepperta we wszystkich instytucjach sportowych.

Nowocześni gladjatorowie.

Kult ciała zaczyna w naszem stuleciu wracać z całą siłą po zaniedbaniu go przez tyle wieków. Powracają w wieku promieni Roentgena starożytne igrzyska olimpijskie i odbudowują się starożytne areny. W ubiegłym tygodniu Paryż obchodził uroczystym widowiskiem częściowe odrestaurowanie areny Lutecji; imiona znakomitych bokserów obiegają świat cały i gromadzą w miejscu zapasów tłumy rozmiętnionych widzów.

Amerykański murzyn Johnson, szampion bokserów „nowego świata" zrobił w ciągu kilku lat majątek. Posiada on cztery olbrzymie domy w Filadelfji, pałacyk w New-Jorku, a podniesienie z banku stu tysięcy franków stanowi dlań bagatelkę, to też często tę bagatelkę powtarza.

Redakcja i Administracja „ZŁOTEGO ROGU" przeniesione zostały na ul. Królewską № 27. Telefon 152-05.



Jerzy Carpentier
najsłynniejszy bokser francuski.

W jego domu zbiera się najwykwintniejsze towarzystwo miejscowe, wielu złotych młodzieńców jest z nim na „ty“ i jego murzyńska muskularna osoba bywa ozdobą najwybredniejszych salonów.

Wprawdzie żarty Johnsona nie zawsze są bezpieczne, ale pochodzą niezmiennie z dobrego serca. Raz naprzykład jednego ze swoich biesiadników zaszedł z tyłu, gdy ten siedział przy stole i tak go uderzył (dowcip) puchową poduszką w głowę, że przyjaciel spadł z krzesła i stracił przytomność. Kwadrans minął, zanim zdołano go docucić. Johnson ze łzami w oczach przepraszał przyjaciela, okrywał go pocalunkami swoich olbrzymich warg, a kiedy wreszcie przyjaciel się uśmiechnął. murzyn w zachwycie zawołał:

— Ja przecież żartowałem, ją tak leciutko uderzyłem cię po głowie, że innemu by się nawet nie zaćmiło w głowie. O, patrz— to mówiąc wskazał przyjacielowi kolegę boksera, mężczyznę o szerokich barach i potężnym karku—takem cię tylko uderzył tą miękką poduszką!

I machnął przez łeb kolegę boksera.

Jakież było zdziwienie naiwnego murzyna, gdy bokser się zachwiał i runął, jak długi.

Dopóki nie docucono boxera— trwało to kilka minut — Johnson wpadł w melancholję. Nie chciał z nikim rozmawiać, jak gdyby miał urazę do całego świata, że ludzie są tak słabi. A potem znów pokazał wszystkie białe zęby w zdrowym „amerykańskim“ śmiechu.

Innym razem niespodzianie rzucił z pomostu w morze, równie jak on mocnego boksera, pokazując mu dla zmylenia czujności, jakiegoś ptaszka na niebie. Obok stał policjant i chciał aresztować Johnsona, ale kolega bokser z wody krzyczał, że to były żarty!

Najsłynniejszym szampionem francuskim jest dzisiaj śliczny osiemnastoletni chłopiec, Jerzy Carpentier.

Talent, z jakim Carpentier walczy, zdobył mu odrazu przydomek „zdumiewający malec“. Wydał on dotychczas sześćdziesiąt walk i tylko sześć razy był pokonany, ostatnio zaś, w Monte Carlo, zdobył szampionat świata, dwukrotnie zwyciężając angielskiego boksera Iim Sulivana. Carpentier spada na przeciwnika, jak piorun i zadaje ciosy nieomylne. W ciągu trzech lat Carpentier zarobił na czysto 300.000 franków.



Zwycięzca pan-atletycznych zapasów w Stokholmie — Gefrack.

Najniebezpieczniejszym z przeciwników Carpentier'a był niezawodnie Frank Klaus, amerykanin. Jest to do pewnego stopnia potwór. Olbrzymie szczęki i muskuły, kolosalne ramiona, niezwykle masywny tors, pomimo niewielkiej umiejętności walczenia, czynią go potęgą bokserską. *Kroton.*



Frank Klaus
bokser amerykański.

Orka na ulicach Warszawy.

Mieszczuchów naszych, odwykłych od wszystkiego, coby mogło być przypomnieniem pól i łąk, zdumiał w tych dniach zwykły pług, orzący ziemię na ul. Pięknej. Wysłano natychmiast fotografów, zamierzano już nawet chwytać na filmy kinematograficzne ową orkę na ulicach Warszawy, — udał się tam i wysłannik naszego pisma.

Rzecz wyjaśniła się na miejscu dzięki uprzejmości p.p. inżynierów oddziałowych.

Ul. Piękna posiadała dotąd bruk ze zwykłego kamienia polnego; bruk ten postanowiono zastąpić kostką drewnianą na podkładzie betonowym, a w tym celu poziom ulicy trzeba było znacznie obniżyć. Ponieważ zie-



Orka na ulicach Warszawy w zastosowaniu przy układaniu bruków.

mia pod brukiem dotychczasowym była niezmiernie zbita i stwardniała, wykopywanie jej zatem byłoby nader mozolne; wzięto się więc na sposób: inżynier oddziałowy p. Furuhjelm nabył zwykły pług żelazny, ziemię przeorał, naczem zyskał to, iż robota poszła mniej więcej 5 razy szybciej i o 40% taniej. Ziemię tę od dwuch tygodni wywozi codzień 6 wozów parokonnych i 16 jednokonnych na ul. Przemysłową, której poziom ma być przy zmianie bruku podwyższony; znów więc oszczędność, ponieważ ziemię, usuwaną dawniej poza miasto, tu się spożytkowuje w mieście, dzięki czemu nie będzie potrzeba zwozić na ul. Przemysłową ziemi z poza miasta — oszczędność przytem poważna, ponieważ w ostatecznym rezultacie wyniesie ona od 1400 — 2000 rb.

Robota na ul. Pięknej wre w całej pełni. Na obniżonym więc poziomie gruntu układaną jest 15 centymetrowa warstwa betonu (cement, piasek i żwir lub szaber w stosunku 1 : 3 : 6), następnie 3½ centymetrowa warstwa piasku (innowacja, odgrywająca rolę elastycznej poduszki pod brukiem drewnianym), wreszcie kostki drewniane 12½ centymetrowej wysokości. Dla pośpiechu wprowadzono też na ul. Pięknej pracę w nocy przy świetle sztucznem.

Wogóle pracę tego oddziału inżynierji miejskiej cechuje pośpiech i oszczędność: fakt drobny ale charakterystyczny, iż bardzo oryginalnie pomyślane zastawy porobiono tu z bezużytecznych dotychczas klepek po beczkach od cementu, gdy dawniej trzeba było na nie umyślnie ciętych tarcic.

Słówko jeszcze przy sposobności: jedno z pism codziennych wyrzekało, iż na placyku na przecięciu ul. Pięknej, Kruczej i Mokotowskiej złożono piasek, który się kurzy pod kołami przejeżdżających tamtędy wozów, rzecz obejrzeliśmy na miejscu i przyznajemy, iż jest to zło, ale zło konieczne. Piasek ten jest niezbędny do układania nowego bruku, mieć go trzeba zapas w pobliżu, a gdzie go złożyć—niechże tę zagadkę rozwiąże owo wyrzekające pismo codzienne, a otrzyma niechybnie konia z rzędem w nagrodę.

TYPY I TYPKI.



DOBROCZYNNA DAMA.

Obce drobne jej kłopoty,
Życie gładko płynie,
Wśród sfer miejskich za wzór cnoty
Piękna pani słynie.
W bezczynności dni swe trawi,
A że chce być słynna,
Więc się w dobroczynność bawi
Dama dobroczynna

Swą dobrocią jest przejęta,
Mówi o niej cuda,
Żadna kwesta, ani wenta
Bez niej się nie uda.
Kiedy leje w niewiast kole
Potok słów, jak rynna,
W tedy w swoim jest żywiole
Dama dobroczynna.

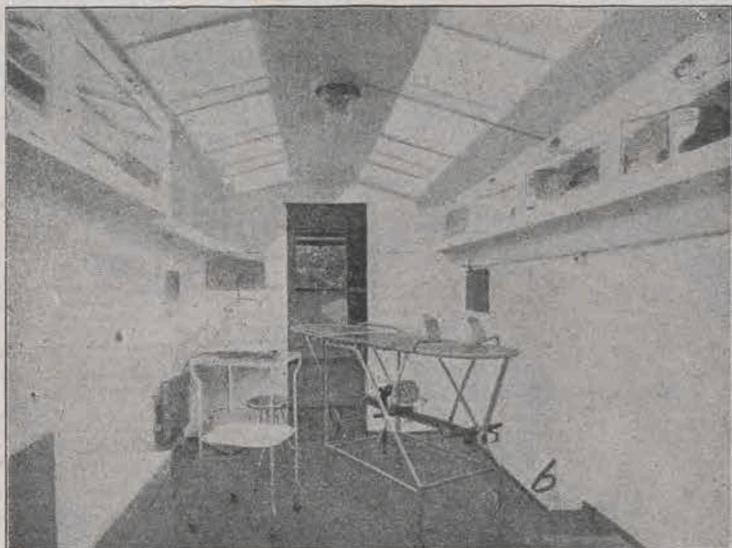
Ciągle tonie w „prac“ nawale,
Czas jej wielce drogi,
Na rzecz biednych w karnawale
Puszcza w ruch swe nogi.
Wciąż na sesje jakieś leci,
Gdzie prym trzymać winna,
Zaniedbując męża, dzieci
Dama dobroczynna.

Choć tak wciąż w działaczki roli
Pędzi lotem ptaka,
Nie ulżyła jeszcze doli
Żadnego biedaka.
Strojna, w modnych szat ozdobie,
Ruchliwa i zwinna,
Pierwszą w mieście zda się sobie
Dama dobroczynna.

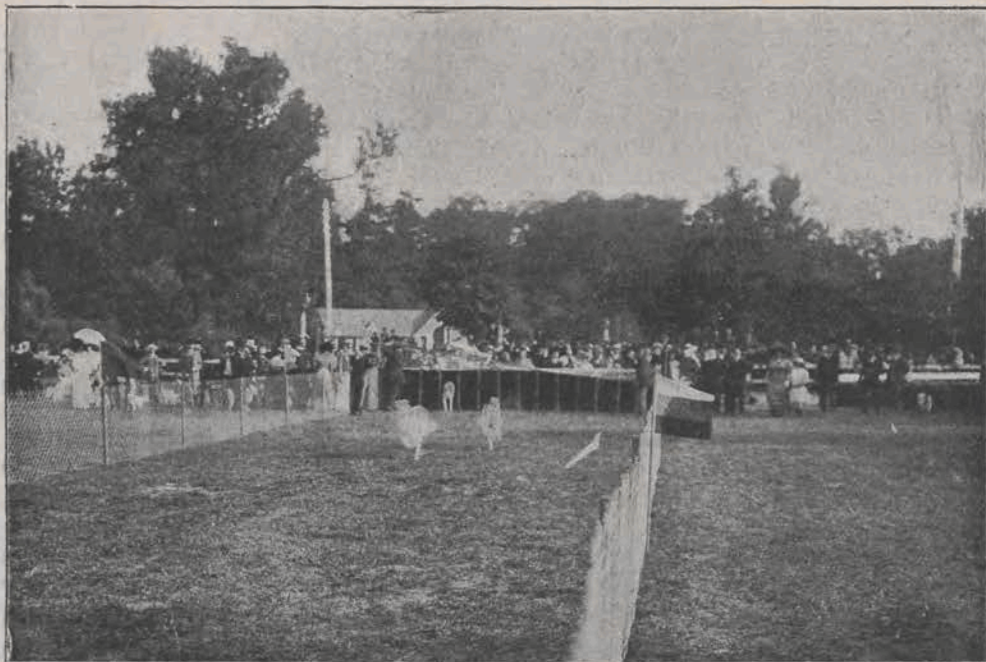
Krogulec.

Sala operacyjna w automobilu.

Zbudowano dla obsługi wojska francuskiego olbrzymi próbny samochód, w którym się mieści sala operacyjna ze wszystkiemi narzędziami chirurgicznemi. Jest to poprostu mały, jeżdżący szpital.



Wnętrze samochodu wojennego z salą operacyjną.



Wyścigi psów na wystawie Sportowo-Przemysłowej.

Tydzień polityczny.

Jakie wyniki przyniesie ostatnie spotkanie Monarchów na skerach finlandzkich — oto pytanie, omawiane przez całą prasę polityczną. Odpowiedzi szukać trzeba jedynie w domysłach, w przypuszczeniach, w kombinacjach dowolnych, mniej lub więcej fantastycznych.

Komunikat urzędowy o spotkaniu tem zaznacza, że miało ono szczególnie serdeczny charakter, i stało się nowym dowodem stosunków przyjacielskich wiążących obu Monarchów. Ta pierwsza część komunikatu stwierdza tylko to, co oddawna wszystkim jest wiadomo. Jest ona niejako wstępem do drugiej politycznej.

Dokonana z powodu spotkania—mówi w dalszym ciągu komunikat—wymiana myśli pomiędzy mężami stanu, uczestniczącymi w spotkaniu Monarchów, nada możność zaznaczenia znów silnego zamiaru utrzymania tradycyj wiekowych, istniejących pomiędzy obu krajami. Wyjaśnienia polityczne, które dotknęły wszystkich spraw bieżących, wpoiły obustronne przekonanie, że wzajemne stosunki, oparte na obopólnem zaufaniu, mają istotnie znaczenie zarówno dla interesów obu Monarchów sąsiadujących z sobą, jak i dla pokoju ogólnego.

Tak brzmi główna część tego dokumentu historycznego. Bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ostatnie spotkanie na skerach finlandzkich ma znaczenie dziejowe. Głównemi podstawami tego spotkania są przedstawiciele dwóch, do pewnego stopnia przeciwnych sobie systemów politycznych: z jednej strony „trójprzymierza“, do którego należą Niemcy, Austrja i Włochy, z drugiej „trójporozumienia“ Rosji, Francji i Anglji.

Kanclerz niemiecki to jakby sternik trójprzymierza; rosyjski prezes ministrów—jeśli nie jest pierwszą, to w każdym razie jest główną figurą w trójporozumieniu. Obaj ci przedstawiciele dwóch systemów politycznych dokonali wymiany myśli we wszystkich sprawach bieżących. Jeżeli zatem „trójprzymierze“ jest w najzupełniejszej zgodzie z „trójporozumieniem“ to chyba niema najmniejszych podstaw do jakichkolwiek obaw o mogące zajść nieporozumienia między państwami.

A jednak wiadomo, że tak nie jest. Obawy istnieją. Obawy tak wielkie, jakich nie było już dawno. A wobec tych obaw ta wymiana myśli między kanclerzem niemieckim a rosyjskim prezesem ministrów, mimo woli nasuwa przypuszczenie, że w „trójporozumieniu“ coś się psuć zaczyna. Przypuszczenie to tak jest naturalne, że nawet krótki a treściwy komunikat urzędowy uważa za właściwe rozproszyć te obawy, zaznaczając, że w czasie spotkania „nie było mowy ani o zawarciu jakiegokolwiek układu nowego, ponieważ okoliczności osobiście nie dają po temu powodu, ani też o zmianie stosunku mocarstw europejskich, ponieważ pożytek z istniejących ugrupowań z punktu widzenia zachowania równowagi i pokoju—już jest dowiedziony“.

Rzadko kiedy dyplomacja europejska przemawia w formie urzędowej z taką stanowczością. I to właśnie jest poważną przyczyną do zaniepokojeń. Bo w dyplomacji, jak wiadomo, mowa służy do ukrycia tego, co się naprawdę myśli.

A co myśli się wśród dzisiejszych „ugrupowań“ politycznych, tego domyślać się można z uchwał parlamentów w sprawie uzbrojeń.

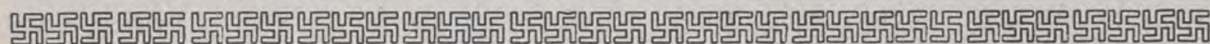
Wszystkie państwa uzyskały od swoich ciał prawodawczych tak ogromne kredyty wojenne, o jakich nigdy dotychczas się nie słyszało. Czy „z punktu widzenia pokoju“ owe olbrzymie kredyty wojenne mogą być uspakające—to rzecz wątpliwa.

We Francji komunikat snać nie wywarł wrażenia pożądanego. Zapewnienie, że w stosunkach mocarstw europejskich nie zaszła żadna zmiana, widocznie nie dość silnie podziałało, skoro w ślad za komunikatem pojawiła się wiadomość urzędowa, że francuski prezes ministrów złoży wizytę swemu rosyjskiemu koledze w początkach sierpnia, a więc w czasie, gdy naczelnicy rządów zwykli używać wywczasów letnich.

Te „wymiany zdań“ dokonywane w przyspiesznym tempie, między Petersburgiem, Berlinem a Paryżem, w czasie kanikuły, nie rozjaśniają horyzontu politycznego, który w ostatnich czasach bardzo się zasępił.

*

Dnia 6-go lipca Najwyżej sankcjonowano zatwierdzony przez Radę Państwa i Dumę projekt utworzenia gubernji Chełmskiej.



WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu,	rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—	Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15	halerzy 25.
Za granicą i za oceanem	„ „ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25	
W Austrji i Galicji	„ „ „ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.	Zmiana adresu—20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na kolumnach bez tekstu i na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierownik liter. **Wacław Grubiński**.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.